№ 28. Warszawa, dnia 29 Czerwca (11 Lipca) 1889 r. Rok XXV

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

NA WSI.

Lato wywołuje ludzi z murów miejskich i jest to wydostanie się na swobodę, odetchnięcie piersią całą tem powietrzem świeżem, które nam się dostaje prosto z pól i łąk, z lasów cienistych, pełne aromatów ożywczych, krzepiących nietylko ciało. Zetknięcie się człowieka wręcz z naturą ma wielkie i z żadnym innym wpływem nieporównane wrażenia swoje, które mogą działać potężnie i działają też zawsze na wszystkie organizmy zdolne to przyjąć i przerobić w sobie. Otwierają się nam nietylko dla oczu widnokręgi szerokie. Moce natury, w majestatycznem działaniu swojem niestrudzone, niesłabnące nigdy, muszą nas uderzać wrażeniem potęgi, wobec której maleją z konieczności różne drobne nasze sprawy, zabiegi, krzątania się malutkie. Wśród przestrzeni otwartej oko spotyka się wręcz z tem, co nazywamy światem, a świat to wielki inaczej, niż jakikolwiek salon — piękności innej, niż draperya choćby najświetniejszego gałganka. Natura przez zetknięcie się swoje z nami świadczy nam najpierw to dobrodziejstwo wielkie, że daje nam skalę porównawczą w rozglądaniu się wkoło siebie i zarazem rozwiązuje nas z pęt sztuczności. Widoki rzeczy wielkich zawsze leczyły i leczyć będą drobne żale, drobne pożądania, a piękność natury prosta i wyniosła, odkrywa nam tajemnice prawdziwego piękna i wdzięk uroków czarownych. Sztuka powstała z zapatrywań się w naturę. Duch ludzki wziął tu sobie kształty i barwy dla wypowiedzenia tęsknot swoich i tęczowych widzeń ideału; tylko też wrażenia sztuki—sztuki szlachetnej, mogą stawać do porównania z oddziaływaniem na człowieka wrażeń wywieranych przez widoki natury.

Człowiek przeniesiony z miasta na wieś odzyskuje się niejako w indywidualności swojej, bo ten szereg ludzi ściśnięty, który go tam ujmował, rozluźnia się i, dla młodości szczególniej, przebywanie od czasu do czasu na wsi, ma znaczenie wagi wielkiej, tylko niech to nie będzie ta wieś podmiejska z domkami i ogródkami dla *letników* budowanemi, które są tak wsią, jak lalka jest człowiekiem. Wieś prawdziwa, z prawdziwą swobodą swoją, z prawdziwą prostotą i sielskością, jest dla mieszkańców miast miejscem przebywania choć na tygodni kilka tak potrzebnem, jak dla organizmu fizycznego przeciągnięcie się swobodne po zostawaniu długo w postawie jednej. Najpierw się odpoczywa: używa słodko wolności doznanej, potem zaczyna się praca— oryginalna praca wewnętrzej istoty naszej.

Gdzie jest w głębi tlejąca iskierka poezyi, widoki natury rozdmuchują ją: las nam coś mówi, woda coś szemrze, dal bez końca daje to uczucie nieokreślone wyrywanie się kędyś, które nazywamy tęsknotą. Czegoś się pragnie, czegoś się żąda—tego, co nie jest ani piciem, ani jedzeniem, taką zabawką, taką rozrywką. Pożądamy nieuchwytnego ideału, który jest obliczem poezyi, zasłoniętem, jak egipskie bóstwo z Saïs. Pastuch, który pod niebem gwiazdzistej nocy pilnuje wypędzonych na trawę koni, kręci fujarkę z wierzbiny i gra na niej—wydaje przez jej tony to coś, co wśród samotnego przebywania z naturą pierś mu podnosi i potrzebuje się wypowiedzieć w jakimś języku innym niż ten, którym mówi się do ludzi o sprawach swoich codziennych — to coś, co do niego przyszło nie wiedzieć zkąd: nawiedziło jego ducha.

Przyszło to do niego z mgły, z powietrza — od gwiazd niebieskich, i tych szemrzących zarośli wierzbinowych, od których wziął sobie narzędzie dla wydania tonów grających mu w duszy. Przyszło to do niego, jak bogini do Endymiona i wstąpiło weń sposobem, z którego nie umiałby zdać sprawy ani przed sobą, ani przed nikim i nie on jeden... Ta moc nieujęta w działaniu swojem na człowieka,—to poezya, którą znalazł on sobie najpierw przez wpatrzenie się w piękności natury, budzące weń uczucie tęsknoty, ująć się niedające. Wzruszeń, ztąd powstałych, przędza złota stała mu się w piersi narzędziem śpiewnem—strunami, na których wygrał poemat duszy swojej, tęskniącej za nieskończonością, jak część za całością swoją, i niedającej się nigdy ograniczyć ramami życia, choćby było ono najbujniejszem i najszerszem.

Jak do tego grajka na ługu samotnym — do tej natury pierwotnej, nieświadomej uczuć piersi własnej, przyroda przemawia do każdej niemal duszy ludzkej, która już nie jest całkowicie poziomą. I dla tego też: dla oddziaływań otoczenia szerszego, niż ulice miejskie, dla wrażeń, któremi działa ono na człowieka – dla wydostania sobie z piersi oryginalnej istoty swojej i oderwania się od wpływów zaszczepiających naśladownictwo przez nieustanne przebywanie wśród rojowiska ludzi, coroczny pobyt na wsi, choćby na czas krótki, jest nam tak potrzebny dla odnalezienia osobistości naszej, dla jej swobodnego rozprostowania się, jak drugostronnie potrzebuje go nasz organizm fizyczny. Wziąć w pierś powietrze świeże, żyć według modły własnych gustów i chęci, nie mieć wciąż przed oczyma ściany murów, ograniczających nas do jakiegoś jednego kątka — jednej komórki ula, to biesiada duchowa! W wychowaniu ma to znaczenie ogromne i poglądowa to nauka świata — poglądowa nauka tego kawałka ziemi, która jest nam rodzinną.

Miasta kosmopolityzują i wieś dopiero pozwala uchwycić ten promień koloru, który w tęczy świateł ludzkości na nasz rodzimy dział przypada i odbicie jego o duszę daje nam barwę i ton charakteryzujący. Ukochanie zagonów rodzin-

nych przychodzi nam też z uczuciem różnic i odrębności, które najpierw ujawniają się przez przyrodę stron swoich, i są nietylko fizycznem odbiciem się na istocie naszej. Na tem-to tle rozwijały się nasze myśli; uczucia i wspomnienia naszych radości, cierpień, tęsknot, pożądań — życia, pozostawionego w tyle, łączą się nam w sercu z obrazami natury naszej, które stają się dla nas zwolna jakoby rysami oblicza matki: piastunki i karmicielki dobroczynnej, na której łonie Bóg nas umieścił, a która wyżywiła nas sokami łona tego. To, co w życiu jest życia tego pierwiastkiem realnym i jego poezyą, ze wzruszeń serdecznych powstałą, tu się splata w węzeł silnie wiążący człowieka.

A kto ukochał ciebie sercem swojem
I w twe objęcia chyli się z pieszczotą,
Tego obdarzasz pogodnym spokojem,
Spojrzeniem matki i matki pieszczotą
W zaczarowane znów wprowadzasz koło,
Wracając młodość jasną i wesołą.“

Marya Ilnicka.

KATARZYNA JAGIELLONKA

KRÓLOWA SZWEDZKA.

Opowieść historyczna

skreślił

Maryan Dubiecki.

I.

(Dalszy ciąg).

Kilka dni tylko upłynęło od chwili owej ostatecznej decyzyi królewskiej do pośpiesznie przygotowanych godów. Pośpiech dziwny, zpowodu zbiegu okoliczności, widocznie był udziałem przygotowań godowych naszych Jagiellonek. Gdy na sześć lat przed ślubem Katarzyny wychodziła zamąż starsza jej siostra, Zofia, również w wielkim pośpiechu wszystko przygotowywano, i wreszcie wszystkiego, pomimo pilnego krzątania się, na czas nie zdążono przygotować; niektóre rzeczy później dopiero, po wyjeździe Zofii, odsyłano jej do Brunszwiku.

Z Katarzyny ślubem działo się inaczej. Wszystko było przewidzianem, obmyślanem, dokonanem, widocznie znacznie wcześniej. Widzimy tu troskę braterską króla, widzimy pieczołowitą myśl niewieścią królowej Katarzyny Austryaczki, która z naszemi Jagiellonkami w dobrych była stosunkach, dzieliła z niemi swe smutki, na łonie owych siostr przybranych wylewała łzy goryczy, wywołane zgryzotą niezbyt szczęśliwego z mężem pożycia.

Olbrzymia tu różnica od owej chwili, gdy Zofia wychodziła zamąż, podczas bytności Bony, a ta matka, przedewszystkiem o sobie zawsze myśląca, z obojętnością trudną do wytłómaczenia wszystko na barki syna zwalała, sama zaś chętnie wycofywała się z obowiązków i wszelkiej macierzyńskiej troski. W owym-to czasie zaślubin Zofii matka pisała do Zygm. Augusta: „Oprócz sreber dla królewny Zofii król J. M. niechby pomyślał o srebrach dla pozostałych królewien po wyjeździe matki, gdyż swoich nie mają, oprócz nalewki i miednicy po ojcu; a dotychczas używają sreber matczynych“... (7): Wyrazy te Bony świadectwem są wymownem, a co ważniejsza, wiarogodnem, jak królewne były zaniedbane pod opieką macierzystą, i to w owej dobie, gdy karawany, złożone z dwunastu wozów sześciokonnych, z kapitałami i kosztownościami, tażsama matka do Włoch wysyłała (8). Odjąć wszystko najbliższym, lub ich otoczeniu, aby bodaj drobnostką przysporzyć własnego dobytku na wyłączną swą korzyść, było snadź stałem jej prawidłem postępowania. Jednocześnie bowiem z wyżej przytoczonemi wyrazami nie wahała się pisać o swym chwalebnym zamiarze pozbawienia futer panien dworu królewien, aby niemi okryć dwór, który jej do Włoch miał towarzyszyć. Czytamy przeto: „Niech król J. M. każe kupić nieco futer lisich dla panien, które są przy jego siostrach, albowiem te, których one używały dotychczas, królowa J. M. kazała przerobić na użytek swoich panien, które mają towarzyszyć jej do Włoch“... (9).

Tak skrzętnie zapobiegająca we własnych drobnych nawet sprawach królowa-matka nie miała czasu, by o córkach pomyśleć: spadała więc na brata, na Zygmunta Augusta, cała troska wyposażania i przygotowywania niewieściej wyprawy dla sióstr. Przygotowano przeto, za jego zleceniem, świetną wyprawę dla Katarzyny Jagiellonki. Narzekały wprawdzie wielekroć różne panie, przyjazne dla naszych królewien, iż król wiele obiecuje, zwleka, mało dla sióstr czyni, iż one często w zaniedbaniu; tak jednak nie było, przynajmniej w one dni, gdy wychodziła zamąż królewna Katarzyna. Wyprawa i wszystkie zarządzenia, zmierzające do otoczenia królewny stosowną do jej stanowiska opieką i wygodą, świadczą o troskliwości braterskiej króla, o świetności ówczesnego dworu, o zasobach skarbca królewskiego, który, acz przed kilku laty znacznie przez Bonę opróżniony, bo wszystkie nawet łyżki srebrne matka córkom pozabierała, a na wydatki bieżące ani grosza w skarbcu nie zostawiła, zdołał sprostać tylu potrzebom, i to w nader krótkim czasie. Poza opieką, troskliwością króla uwidocznia się myśl pieczołowita, niewieścia królowej, trzeciej żony Zygm. Augusta, i wreszcie przyjacielskie troski niewiast, które zaprzyjaźnione były z naszemi Jagiellonkami. Dzieje zachowały nam kilka nazwisk owych wiernych przyjaciółek córek Zygmunta I. Widzimy tam wojewodzinę Sobieńską, widzimy panie ze znanych rodów Górków i Kościeleckich.

Każda z tych dostojnych niewiast niosła swą radę, doświadczenie, wskazówkę, gdy chodziło o przyśpieszenie, uzupełnienie prac przygotowujących wyprawę dla królewny Katarzyny. Zabiegi próżnemi nie były; na czas właściwy, a dziwnie prędko, gotową była wyprawa, niedość, iż kosztowna, ale obmyślana nader wszechstronnie, gdzie wszystko przewidziano, o niczem nie zabaczono, na nic nie żałowano.

Dzień Niedzielny, 4 Października 1562 r., jak było postanowionem, stał się dniem ślubu królewny Katarzyny z Księciem Finlandzkim, Janem. Jeśli wyprawa oblubienicy i przyjęcie oblubieńca wspaniałemi były, to nie mniejszy blask przepychu, połączonego z gwarem uczt, zabaw, turniejów napełniał stary zamek wileński. Nie było w jego izbach takiego wytwornego zbytku, jak na Wawelu, ale na każdym kroku wszystko przypominało, iż stara rezydencya jednego z potężniejszych władców Europy święci uroczystość rodzinną swej dynastyi. Rycerskie gonitwy, uczty, „maszkary“, muzyka i śpiew, umyślnie ułożone i starannie wykonywane kantaty, uświetniały ową ostatnią, radosną uroczystość domu Jagiellońskiego. Powtarzano tu, na mniejszą tylko nieco skalę, co na Wawelskim Zamku z przepychem roztoczono przed kilku laty, gdy miały miejsce zaślubiny Zygm. Augusta z Katarzyną, Rakuską arcyksiężniczką. Wilno ówczesne współzawodniczyło ze starą stolicą piastowską; liczyło około 100.000 mieszkańców i było siedliskiem rodzin możnych, pragnących prześcignąć w one dni świetność dworu królewskiego. Dla Zygmunta Augusta było owo miasto najmilszem „Jedno Wilno August domem swoim nazywał — powiada współczesne swiadectwo—inne miasta i pałace swoje za cudze uważając, w Wilnie łaźnie, ogrody, domy, pałace i niewiedzieć wiele innych rzeczy pozakładał, a ile razy mógł tylko uciec z Polski, zaraz się do Wilna udawał“... (10). To zamiłowanie Wilna sprawiło, iż miasto tak wówczas wzrastało, jak nigdy przedtem i potem. Wówczas jeszcze mogło ono z całą słusznością rzec, iż nie widziało dotąd w swych murach nieprzyjaciela, chyba jeńca, a innej pożogi nad pożar z przypadku. Lecz i pożary za Zygm. Augusta czasów szerzyć się tam nie mogły z taką gwałtownością, jak w innych ówczesnych miastach Rzplitej, zapobiegając bowiem klęskom ogniowym, darował ten król miastu sto sikawek, co wytworzyło straż ogniową, instytucyą wtedy, i znacznie później, nieznaną w żadnem z miast państwa Jagiellonów. Dobrobyt, a nawet zbytek, krzewiące się wśród owego stołecznego grodu, mogły w bezpieczeństwie i większym spokoju, niż gdzieindziej, rozwijać się i wzrastać.

Gród ów wspaniały, świetny, ucztujący, od lat ośmnastu, z małemi przerwy, rezydencya Augusta, miał wszelką możność roztoczenia wielkiego przepychu podczas owych godów królewny Katarzyny. Jeśli w zwykłych chwilach zamek górny i dolny, acz pomnożony wielu officynami, które na dolnym zamku wzniósł August, nie mieścił całego dworu — dla rzemieślników dworskich bowiem w domach kapitulnych wynajmywano mieszkania—tembardziej na dnie godowe zbyt szczupłemi się stały gmachy zamkowe.

Poza świetnością i gwarem wesołym biesiad i turniejów umysły nastroju smutniejszego widziały w niektórych błahych objawach złe wróżby dla nowożeńców. Okoliczności drobnych, nieharmonizujących z powagą i radością chwili oko ponuro na świat patrzące doliczyć się mogło niemało. A ci lub owi, niechętni królowi, — a tacy znajdą się wszędzie i zawsze — rozdmuchiwali iskry drobne do rozmiaru wielkiego płomienia złych wróżb.

Wśród turniejów ktoś padł pod ciosem kopii, i zaraz to było za zły prognostyk uważane; to znowu jakiś natrętny, może nieszczęśliwy, ale niecierpliwy, supplikant, nazwiskiem Wójcik, szlachcic z Podlasia, nie mogąc się doczekać chwili audyencyi królewskiej, przykleił paszkwil na bramie zamkowej. Sprawca został wprawdzie narazie odszukany i srodze za obrazę majestatu ukarany, ale sprawa wywołała w mieście wrażenie—i znowu za zły omen to uważano: a takich wróżb złowrogich, na mniemaniach zabobonnego tłumu opartych, sporo się zebrało. Były i uzasadnione obawy, aby wschodnie, ościenne książę nie targnęło się na podróżną karawanę nowozaślubionych; czuło się ono podobno obrażonem, iż mu Katarzyny w zamężcie nie dano.

Obok smutnych wróżb tłumu torowały drogę oblubienicy ku przyszłości nieznanej smutne przeczucia, z innego, z poważniejszego źródła, reflexyi zaczerpnięte... Królowa Katarzyna, Austryaczka przed kilku laty (1553), w chwili gdy dla niej zapalano na Wawelu pochodnią hymenu, pragnęła widzieć naszę Katarzynę Jagiellonkę żoną swego brata Ferdynanda; obecnie, gdy tażsama Jagiellonka stała się innego żoną, przeczucia złowrogie niepokoić królową zaczęły. Lubiła ona Katarzynę, a rojenia, iż ta bratową jej się stanie, oparte były nie na przywidzeniach. Ferdynand, odprowadzając siostrę do Polski, upodobał sobie Katarzynę, i owa sympatya, zdaje się, wzajemnością cieszyła się. Trwało to niedługo: dni kilkanaście Sierpniowych 1553 r. podczas uczt weselnych królowej. Ferdynand nie pozyskał sympatyi Zygm. Augusta, zrobił złe wrażenie na panach rady koronnej — i marzenia jego prysnęły, ale od owej chwili trwalsze węzły wzajemnej sympatyi za-

---

(7) Patrz wyciągi z listów Bony, umieszczonę w dziele p. t. *Jagiellonki Polskie*, T. II, 219.

(8) List Hetm. Jana Tarnowskiego do podkanc. Porębskiego.

(9) List Bony—l. c.

(10) Warszewicki.

wiązane między dwiema Katarzynami, Rakuszanką i Jagiellonką, czas utrwalał. Królowa, kochając Jagiellonkę, drżała o jej los, bo ten los wydawał się tak niepewnym, jak niepewną była toń Baltyku, która księżnę świeżo zaślubioną od ojczyzny miała oddzielać.

Oblubienica w licznym orszaku dworzan opuszczała ziemię rodzinną. Niepewność morskiej żeglugi w dniach spóźnionej jesieni trwożyła wielu jadących, i nakazywała przyśpieszać odjazd. Król odradzał podróż natychmiastową: zalecał oczekiwanie sannej, lub spędzenie zimy w Wilnie, a w ostatecznym razie powrót przez Gdańsk. Książę Finlandzki w postanowieniu swem powrotu drogą jaknajkrótszą, i to jak najprędzej, niezłomnym pozostał. Osmego dnia przeto od chwili, gdy związek nowożeńców pobłogosławił biskup wileński, Waleryan Protaszewicz, orszak zaślubionych, po całotygodniowych godach, wyruszył z Wilna do Finlandyi.

Na cztery dni przed odjazdem urzędownie została oddaną wyprawa królewny urzędnikom dworu Księcia Finlandzkiego. W kommissyi odbiorczej zasiadali, nietylko przedniejsi z otoczenia królewskiego i z orszaku Księcia Finladzkiego, ale byli obecni znawcy, byli „osobliwie wysadzeni, jak się wyraża współczesna relacya, szacunkarze, probierze, złotnicy, hafciarze, ile tak ze strony J. Kr. M., jako ze strony książęcia J. M. Finlandzkiego.“

Spisy owej wystawy tworzą wielki manuskrypt, w którym rozczytując się, łacno dopatrzyć i troskliwości braterskiej króla i hojności monarszej. Bije z kart spisu blask bogactw, które jeszcze wtedy skarbiec zapełniały. Nikt wówczas nie przewidywał, jak dalece skarbiec zubożeje po stu, po dwustu latach, a wreszcie zniknie drogą do dziś dostatecznie niezbadaną...

Najcelniejsze miejsce w wyprawie zajmowały klejnoty i przedmioty ozdobione cennemi kamieniami lub perłami. Ogół wartości klejnotów oceniano na sto kilka tysięcy talarów, nie licząc różnych kosztownych ozdób. Srebro liczne było i kilkorakie: „komorne“, stołowe, „łaziebne“ i kościelne. Nawet ten ostatni dział, chociaż miał na celu zaopatrzenie domowej jedynie kapliczki królewny w utensylia niezbędne, posiadał srebra, które mogły być ozdobą niejednego parafialnego kościoła.

Szaty, tworzące główny balast całej wyprawy, liczbą i wytwornością imponowały. Oko prawdziwie gubić się mogło w szeregu sukni o rozmaitych nazwach, barwach i z mnóztwem większych lub mniejszych dodatków, aksamitnych, futrzanych i innych. Wszystkie szaty ze złotogłowu, ze srebrogłowu, z aksamitu, z atłasu, nader szczegółowo opisane w „spisie“ wyprawy, były bezwątpienia owocem długich przygotowań, tyle w nich bowiem wykwintnych i misternych uzupełnień, dodatków cennych, drobnych, kosztownych, które narazie powstać nie mogły, ale czasu potrzebowały, by je wykonać dokładnie, wedle mody, która i w XVI w. również wszechwładnie jak dziś królowała. Futer było aż sześć, na które składały się sobole, gronostaje, bobry, kuny, popielice, a przytem było jeszcze i siódme, w formie błamu soboli. Suknie dla panien dworu doliczano do wyprawy królewny, ale to już szaty skromniejsze i ich futra były tylko lisie i kunami podbite, ozdoby zaś nieliczne, chociaż nie zabaczano i o aksamitnych dodatkach, i o adamaszkach, i różnych misternych figlikach. Zamiast dzisiejszych kapeluszy miała królewna „czapki“— zimowe i letnie, te ostatnie z aksamitu lub kitajki czerwonej z takiemiż sznurami i chwastami. Pewien nader zbytkowy przepych spotykamy w dziale pościeli, gdzie nie zapomniano nawet o łóżkach składanych, które wieziono do Finlandyi, i o orłach srebrnych, któremi ozdobione być miały owe łoża, a nad niemi wznosiły się namioty ze złotogłowu, bądź z adamaszku. Zapobiegliwość, troskliwość, przezorność uwidoczniała się w obfitem zaopatrzeniu kuchni, piwnicy, przyrządów do prania. Wielorakie naczynia kuchenne wskazywały, iż sztuka kulinarna doszła już była u nas do rozkwitu zupełnego. Przeflancowana z zachodu zdobyła sobie pewne cechy miejscowe, i służba poświęcająca się tej sztuce wyłącznie z Polaków była złożona, podczas gdy nad piwnicą — Włoch rządy sprawował.

Dwór niewieści królewnej, który miał jechać do Finlandyi, składał się z dwóch pań poważnych (p. Biechowska i p. Ostolska) z sześciu panien „fraucymeru górnego“, z jednej panny komornej (Anna Witkowska) i z czterech „dolnego fraucymeru“; były przytem dwie karlice (Dośka i Baśka). W „górnym fraucymerze“, spotykamy dwie Niemojowskie (Dorota i Orszula), dwie Krupskie (Marusia i Helena), Annę Biechowską i Barbarę Wąsowiczównę. Były przytem i inne kobiety dworu, lecz na podrzędnych, służbowych stanowiskach.

Męzki dwór posiadał dwóch kapelanów, kleryka, aptekarza i kilkunastu sług do różnych funkcyi, ale lekarza nie widzimy. Podobnie jak wśród niewieściego dworu widzieliśmy karlice, spotykamy w męzkiem gronie służby dwóch karłów, konieczny atrybut wszystkich większych dworów ówczesnych.

Dwunasty Października, Poniedziałek, ostatnim dniem był pobytu królewny w Wilnie. W owej, tak pamiętnej chwili w jej życiu, poraz ostatni żegnała ona, nietylko mury Wilna i Wyżyny Po narskie, ale poraz ostatni widziała swych najbliższych a ukochanych — Augusta i Annę. Odtąd nigdy już nie miała ujrzeć ani owych osób drogich sercu, ani też ziemi rodzinnej. Nawet jej kości nie wróciły do Polski z dalekiej zamorskiej ziemi. Pamięć jej wszakże została wśród swoich, i ta pamięć sprowadziła później jej dzieci na rodzinne niwy.

Odprowadzała królewnę cała rodzina poza miasto. Późną znać dobą wyjechali z zamku wileńskiego, w pierwszym dniu bowiem wędrówki ujechano zaledwie jednę milę i nocowano w Werkach, w tamecznym obszernym, drewnianym wówczas dworze biskupów wileńskich. Budowla w Werkach, acz obszerna, zamałą była dla licznego dworu jadących i odprowadzających. Szczęściem, iż spóźniona jesień piękną pogodą obdarzała; rozbito więc namioty dla króla i jego rodziny; tam odbyły się pożegnania. Król szedł na stronę z królewną Katarzyną i oświadczył, że wszystko się stało wedle jej woli, „a jeśliby co złego na nią przypadło, żeby go o to nie winowała“... W tych słowach, które powtarzamy za Górnickim, prześwieca jakieś złe przeczucie. Na karb przeczuć złych policzono również obfite łzy królowej, wylane przy pożegnaniu. Królowa Katarzyna Rakuszanka, niewiasta podniosłego umysłu, wykształcenia wyższego i pewnego życiowego doświadczenia, odgadywała zapewne, w pewnej mierze przynajmniej, iż stromą i twardą mogła być ścieżka przyszłości królewny; ale przeczucia, bodaj wieszcze, nie rozwinęłyby, prawdopodobnie, tak wielkiej grozy nieszczęść, jakie spotkały Jagiellonkę w zamorskiej dziedzinie jej małżonka. Łzy Katarzyny Rakuszanki płynęły poczęści i z bólów własnych; w przybranej siostrze traciła królowa jednę z powiernic swych trosk, traciła tę, którą jej brat był ukochał i za małżonkę pragnął mieć... Werki, łzami pożegnań oblane, pamiętnemi się stały we wspomnieniach Katarzyny Jagielonki, która już odtąd wspomnieniami tylko żyła, w dziedzinie wspomnień szukała ukojenia.

Zanim orszak podróżny ruszył z Werek, dalej gościńcem ryzkim, zaszedł na owym pierwszym noclegu fakt prywatnej natury, który zaniepokoił wielu i był uważany za nowy, „złowróżbny omen“. Stanisław Gębicki, młody kucharz z dworskiej czeladzi, towarzyszącej Katarzynie do Finlandyi, padł martwy w jakiejciś bójce, zapewne wywołanej pożegnalnemi libacyami. Skoro wieść się rozbiegła, iż Stanisław „jest zabit“ wywarło to przykre wrażenie, a na miejsce zabitego król posłał z kuchni swej innego kucharza, też Stanisława (11).

Krwawym wypadkiem rozpoczęta podróż do Rygi tylko pomyślnie odbywała się. Jechano w licznym poczcie Polaków i Szwedów. Jechano do Rygi krajami Rzpltej; polską, litewską i żmudzką mowę wciąż aż do morza spotykano; kommissarze królewscy ułatwiali wszystko; na wygodach i bezpieczeństwie nie zbywało, ze skarbca królewskiego koszt na to łożono, nawet mrozy nie nadchodziły, jakby nie chciały zakłócać zimnym powiewem ostatnich chwil spędzanych wśród swoich. W Rydze kommissarze królewscy pożegnali Jagiellonkę, która już tylko wśród orszaku dworzan i sług mogła słyszeć mowę ojczystą i uobecniać sobie wspomnieniem owych drogich a pożegnanych pod Wilnem, pożegnanych zapewne nazawsze.

Od Rygi rozpoczął się szereg niepowodzeń.

Skoro w ryzkim porcie orszak podróżny wsiadł na statki, jesień polska — słoneczna, pogodna, ciepła — odbiegła wraz z lądem Rzplitej, a mrozy nagłe ścięły fale u inflanckich pobrzeży. Okręty, co wiozły naszą królewnę i jej orszak, zaledwie odbiły od brzegu — zamarzły. Pozycya stała się zbyt trudną. Nie podobna było ani dalej płynąć, ani też wracać na brzeg po lodzie nader wątłym. Obrano wreszcie ostatni sposób odwrotu, pełen niebezpieczeństw i trudu: podążono przeto od Rygi ku północy drogą lądową, podążono pobrzeżem Fińskiej Zatoki, narażając się na niewygody podróży po drogach małych, gdzie nic na ich przyjęcie nie przygotowano, gdzie niebezpieczeństwa były nader poważne: pobrzeża w rękach szwedzkich tym razem roiły się niebezpieczeństwami, bo Eryk wówczas właśnie rozpoczął swe coraz wyraźniejsze majaczenia: zaczął podejrzewać brata o knowania, sam coraz wyraźniej przeciw niemu wrogo występując i łącząc się z tymi, którzy mienić się mogli nieprzyjaciołmi brata. A takim nieprzyjacielem był bezzaprzeczenia książę sąsiedniej wschodniej potencyi, który ku Baltykowi spoglądał z żądzą zdobyczy i rościł jakieś dziwne, niczem niedające się usprawiedliwić prawa do ręki królewny Katarzyny. Chcieć i mieć prawo do czego — dwie rzeczy tak różne—były to pojęcia identyczne u owego władcy; otóż, pragnąc spowinowacenia z domem Jagiellońskim, mniemał temsamem, iż posiada zupełne prawo do ręki królewny Katarzyny.

(Dokończenie nastąpi).

(11) Jagiellonki Polskie... T. III, str. 326.

BŁĘDNA ŚCIEŻKA.

Szkic powieściowy M. WOŁOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Chodźmyż niemi oddychać.

Szydlik w odpowiedzi na to wezwanie ujął kaszkiecik i odparł:

— Służę pani z przyjemnością.

Anielka przy wyjściu z dworku podała mu swoję rączkę i, gdy chciał skierować kroki swe do ogrodu, ona pociągnęła go na drogę w stronę lasu sosnowego, dokąd nieraz, będąc małą jeszcze dziewczynką, z tymsamym panem Antonim odbywała przechadzki.

— Ach, nie — zawołała, nie chodźmy tam do ogrodu, tam same hodowane kwiaty, same róże— nie chcę ich widzieć, już mnie znudziły, a i panu te sztuczne szpalery przyjemności nie sprawią. W lesie przynajmniej odetchnąć można, zobaczyć tę, niczem nieskoślawioną naturę, której żadna sztuka naśladować nie zdoła.

Szydlik, milcząc, spełniał wolę swojej przewodniczki.

— Mój panie professorze, mój panie Antoni — ciągnęła dalej Anielka—powiedziałeś pan żem wyrosła; gotów jesteś jeszcze, jako grzeczny kawaler zapewnić mnie, żem wyładniała. Ja się, naturalnie, zarumienię i będziemy oboje niby bardzo zadowoleni ze swego pierwszego spotkania po niewidzeniu się całorocznem. Nie, nie, dobre to dla wszystkich, ale nie dla nas... Pamiętasz pan

treść naszych rozmów dawniejszych? Ej, pewnie pan nie pamiętasz. Pracowałeś tak bardzo, miałeś tyle na głowie; czyż myśl o mnie, dziecku, mogła ci przyjść na pamięć? Nie chcę już nawet o tem myśleć; chcę tylko, żebyś mnie pan wyegzaminował i żebyś mi powiedział prawdziwie szczerze, jak to mówić zwykłeś: czym też zmądrzała choć trochę?

— Jakiż to ma być ten egzamin?

— Jaki pan chcesz. I z tej mądrości, która siedzi w książkach, i z tej, którą człowiek ma w duszy.

— O, co do tej pierwszej nie wątpię, żeś pani skorzystała ze wszystkiego, czego ją uczono, a co do drugiej, to jakiż egzamin pani złożyć możesz? Jesteś młodą, życie się do ciebie uśmiecha, żyć chcesz tak, jak w twoim wieku żyć można: wesołością zabawą; no, i cóż więcej?

— Pięknie pan moje życie określasz; kiedy tak jednak jest, jak mówisz, czemu i dziś nie przywiozłeś mi owych lalek i cacek, któreby, jak w dzieciństwie, były mi zabawką. Według tego, co pan mówisz, te lalki i te cacka i nadal tożsamo stanowisko w mem życiu zajmować winny... Sam spoważniałeś, a chcesz, bym ja pozostała bezmyślnem dzieckiem. O nie, i ja spoważniałam, i mnie życie i zagadnienia jego przedstawiły się z innej, niż dotychczas, strony. Ja chcę marzyć, a marzyć mi nie wolno, panie Antoni. Pan myślisz, że ja nie widzę tego, co wy widzicie, a o czem tak pilnie rozmawiałeś z mamą, że mnie jasno na świecie, kiedy wam ciemno, że mogę oddychać swobodnie, kiedy wy się dusicie?.. Nie, nie, przyznaj pan, że to niesprawiedliwe z twojej strony posądzenie, a nawet niepoczciwe.

— Nie, pani, ja ciebie tak nie sądzę, a że spodziewałem się zastać panią taką, jaką jesteś, niech posłuży za dowód tego podarek, który ci przywiozłem, a który nie jest ani cackiem, ani lalką.

Tutaj Szydlik sięgnął do bocznej kieszeni swojego surduta i wyciągnął z niej książeczkę maleńką, na której okładce widniały trzy tylko wielkie litery A. B. C.

— Elementarz! — zawołała Anielka.

— Daję go pani, jako stopień z owego egzaminu, którego odemnie żądałaś; pokaż go pani wszystkim maluczkim, wszystkim tym, dla których on dzisiaj jest hieroglifem, zagadką; nie wierz tym, którzy twierdzą, że u nas w Galicyi nic zrobić nie można, bo nikt roboty nie uzna. W tej małej książeczce jest siła: to kamyk, który może zatrzymać największą maszynę zniszczenia, tylko wy, małe rączki, bawcie się tym cackiem gorliwie...

— Rozumiem cię, panie Antoni,—odparła poważnie Anielka — i spełnię, co spełnić radzisz.

Zbliżali się właśnie do początku lasu, który był celem ich przechadzki; rozpoczynała go niby stojąca na widecie sosna. Przed nią zatrzymała się Anielka, spuściła oczy ku ziemi i z kolei zarumieniła się sama.

Szydlik powodu tej nagłej stacyi nie zrozumiał. Spojrzał naprzód na swą towarzyszkę, potem dokoła powiódł oczyma i zwolna spytał:

— Dlaczego zatrzymaliśmy się tutaj?

— Pan nie pamiętasz?...

— Nie—była odpowiedź po małem zastanowieniu. Teraz Anielka podniosła rączkę do góry i drugim palcem wskazała mu w górze pnia sosny wycięte na korze drzewa swe imię, które od pierwszego rzutu oka spostrzedz było można.

— A, pamiętam — zawołał. Pięć lat temu jako mała dziewczynka kazałaś mi tu pani wyryć swe imię.

— I pan zupełnie o tem zapomniałeś! Otóż żeby na przyszłość mieć świadka dzisiejszej naszej rozmowy, chcę ją upamiętnić drugim napisem. Gdyby, które z nas zapomniało o tem, cośmy mówili tutaj, drugie przyprowadzi je do tej sosny i tak, jak dzisiaj, na tego świadka się powoła. Chcę być w tej chwili, jak dawniej, jedenastoletnią dziewczynką: dlatego daj mi pan scyzoryk.

Szydlik, rozpromieniony, podał roztworzony nożyk Anielce, która, spiąwszy się na palcach, pod swojem imieniem skrobać zaczęła na sosnowej korze litery imienia jego.. . Gdy wypisała już pierwsze dwie sylaby, które złożyły się na wyraz „Anto“—obejrzała się filuternie na Szydlika, jakby chcąc się dobadać w jego oczach chęci dojrzenia ostatnich liter, i szybko zamiast poważnego *ni*, zgrabne *ś*, zdrabniające jego imię, wyżłobiła.

Teraz z kolei zarumienili się oboje i tchu w piersiach i tematu do rozmowy im zbrakło. Stali tak niemi, przerażeni prawie, gdy na raz ozwał się dzwonek ze dworu.

— To obiad—szepnęła mała Józia, towarzysząca Szydlikowi i Anielce.

— Już obiad—powtórzyli razem, a w dźwięku tych dwóch wyrazów czuć było żal, że się tak prędko skończyło ich ... milczenie.

. . . . . .

Były to czasy, w których karty historyi Austryi zapisały się straszną zbrodnią, wymyśloną przez Metternicha a wykonaną przez Szelę.

Zielona znajdowała się w Obwodzie Tarnowskim.

W dworku modrzewiowym Rajewskiej modlono się i przeczuwano nieszczęście. Matka drżała o syna, który w domu dosiedzieć nie mógł i jak inni nie widział piekielnej matni, w którą umiano wprowadzić łatwowiernych.

Rafał, przejęty ważnością swoich nowych teoryi, zaglądał do chat wiejskich, a że w tych chatach były i ładne dziewczęta, odwiedziny jego przyjmowano nie za to, czem one były, ale za zwykłe pospolite bałamuctwo.

Cóż chcecie? piosnka o paniczu, co jedzie na koniku wronym, i o dziewczęciu, co w zielonym gaiku rwie jagody, pomimo arcy-pozytywnego usposobienia naszego wieku i lat naszych, powtarza się nieustannie i długo jeszcze powtarzać się będzie. Są bowiem dziewczęta lubiące marzyć i dziewczęta lubiące kochać.

Taksamo zupełnie było i w Zielonej. Rafał wobec wiejskich dziewcząt odgrywał rolę owego tajemniczego rycerza, na którego one z utęsknieniem wyczekiwały.

W jednej chacie ze szczególnym oczekiwano go niepokojem. Chata ta nazywała się Jakubówką, leżała osamotniona pod lasem, przy gościńcu szerokim, prowadzącym do sąsiedniej wioski. Zajmował ją właśnie ten, którego nazwisko z końca w koniec Galicyi, a i dalej pono wymawiano z drżeniem przestrachu i przekleństwem Mieszkał tu wraz z synami, wnukami swemi i prześliczną córką Marychną. Tutaj najczęściej kroki swe kierował Rafał, a choć jednego jedynego miał w niej słuchacza, przecież rad tam bywał i rad w oczy się jego wpatrywał.

Marychna siedziała zwykle sama ze swoją starą babką, której gadający wiele panicz przypadł także do serca. Marychna, przędąc przy kołowrotku, o niczem nie mówiła z babką, o niczem nie myślała, jak tylko o nim. Piosnki jej kręciły się zawsze około jednego i tegożsamego tematu, około jednegoż i tegosamego szczęścia, które polegało na słuchaniu miodopłynnych słów panicza, patrzenia w jego oczy i delikatne liczko. O miłości nigdy jej nie mówił. A jednak gdy parę dni na Jakubówkę nie zajrzał, Marychna, ujrzawszy go, szeptała:

— Paniczu mój, sokole. Tak dawno już dobrego słowa od ciebie nie usłyszałam!

Nadeszła zima, nadeszły i owe fatalne czasy; zdawało się wszystko sprzysięgać przeciwko spokojowi ludzkiemu, nawet i natura. Koniec Lutego zaznaczył się strasznemi śniegami i zawieją, jakiej najstarsi nie pamiętali ludzie. O parę mil od Zielonej odbywała się zabawa, na której Rafał być koniecznie postanowił.

Daremnie błagała go matka i siostry, aby pozostał — jechać się uparł i wyjechał. Zadymka była szalona. Wojciech furman, który na mil kilkanaście wokoło znał doskonale drogę, po godzinie jazdy zatrzymał się wśród wichru i śniegu i, odwracając się ku paniczowi, zawołał:

— Paniczu źle, nie pojedziemy dalej.

— Oszalałeś? jechać muszę!

— Gdzie paniczu? Sen na oczy mi włazi: to źle.

— A więc wracaj — zawołał, zrywając się z siedzenia, Rafał i wyskoczył z sanek na śnieg.

— Na rany Chrystusowe, paniczu! Śmierć pewna: nie chodźcie.—Ale Rafał przekonać się nie dał. Postąpił parę kroków naprzód i zniknął z oczu Wojciecha, który ręce załamał i krzyczeć począł:

— Ludzie, ratunku!“

Ludzie jednak tego wołania usłyszeć nie mogli: ginęło ono w tumanach śnieżycy, w szalejącej nad głowami ludzi wichurze.

Rafał tymczasem szedł naprzód. On w tej chwili czuł się tak silnym, że nawet ten wicher i te śniegi i całą szalejącą naturę lekceważył i do walki gotów był z niemi stanąć. Szedł naprzód, nie wiedząc sam gdzie i po co, szedł, jakby pijany, na śmierć niechybną.

Śmierć ta jednak niezawsze przychodzi do tych, którzy jej pragną.

Nagle wraz z jedną falą wiatru i śniegu Rafał uczuł nadbiegający zapach dymu; to go objaśniło, że znajduje się w bliskości jakiejś siedziby ludzkiej... Postąpił parę kroków i wpadł w jamę odkopaną i wydeptaną dostatecznie, na końcu której ujrzał drzwi zamknięte. Co żywo ku nim poskoczył, za sznurek utrzymujący z drugiej strony drewnianą zasuwkę pociągnął i we wnętrzu chaty się znalazł.

— Panicz, nasz panicz! — ozwał się głos z izby.

— Marychna, — zawołał zdziwiony Rafał; to ja się znajduję na Jakubówce, to jeszcze taki kawał drogi do Różanej, gdzie przed nocą być muszę, koniecznie być muszę....

— O, nie traficie, paniczu,—zawołała Maryanna, — śnieżyca zawaliła drogę, a ktoby tam poszedł, to i życie-by stracił.

— Muszę — była krótka i energiczna odpowiedź — Marychno kochana, czy nie ma tu kogo, coby mnie do dworu doprowadził? Zapłacę co zechce, ale iść muszę.

— Samam w chacie, — odparła, — dziada niema. Pan starosta do Tarnowa go zawołali, a ojcowie już cały tydzień w karczmie piją.

Wiatr szumiał, śnieg przez niezamknięte drzwi padał do izby, ręce od zimna grabiały. Rafał mówił tak głośno, że pomimo świstu wichru Marychna każdy wyraz dobrze słyszała. Cóż z tego, kiedy wszystkich nie rozumiała dobrze?

Habrowe jej oczy więcej patrzały na twarz panicza, aniżeli uszy słuchały tego, co mówił. A gdy mowa przedłużała się, szepnęła jakoś smutnie:

— Paniczu, tam ziąb, chodźcie tu bliżej komina.

Ale panicz nie chciał słyszeć o tem, nie chciał.

— Do Lisówki iść muszę; jeżeli tam zaprowadzić mnie nikt nie chce, wskaż mi drogę, pójdę sam.

Marychna się obejrzała, główkę wychyliła poza drzwi na świat i szepnęła:

— Straszno iść, paniczu, nie chodźcie; i kroków trzydziestu nie ujdziecie, śnieżyca was zasypie i słonka bożego już więcej oglądać nie będziecie.

— Muszę—brzmiała odpowiedź.

Snadź to ostatnie „Muszę“ było bardziej przekonywającem od poprzednich, bo dziewczyna spojrzała na panicza, zastanowiła się chwilkę i, narzuciwszy potem białą świtkę na głowę, zawołała:

— Chodźcie więc, paniczu, pójdziemy, kiedy wam tak pilno, a jeżeli tam w śniegu zginiemy, to razem.... Za wami będą płakać we dworze, a za mną w tej chacie.

— Zostań, zostań, Marychno; wskaż mi tylko drogę; sam trafię.

— Nie, Marychna pójdzie z wami!... Co jej tam!...

I poszli. Dziewczyna ujęła za rękę panicza i prowadziła go za sobą. Ledwie znaleźli się wśród pola, a śnieżyca, jakby oczekując na nich, z podwójną zahuczała siłą, wicher podnosił z ziemi i kłębił wielkie zaspy śniegowe, zaciemniając horyzont cały i tworząc jakieś nieskończone, ruchome morze tumanów.

— Strach, paniczu, — szepnęła Marychna, gdy się oboje znaleźli z Rafałem w tej zawierusze. Chatynki nie widać i Lisówki ani śladu — zginiemy....

A rękę jego coraz silniej przyciskała do piersi, ciągnąc go ku sobie. Ten zamęt, ten chaos śnie-

gowy widocznie i Rafała otrzeźwił. Młodzieniec spojrzał w górę nad głowę, potem na prawo i lewo. Śnieżyca nie pozwoliła mu nawet rozeznać twarzy Marychny.

W tej chwili uczuł coś nakształt przeczucia zbliżającej się śmierci; oczy otworzył szerzej, usiłując wzrokiem przebić zapory śnieżne, które mu główny cel jego wędrówki zasłaniały.

Postąpił jeszcze kroków parę, gdy cały słup śniegu zwalił się pod ich stopami; Marychna szarpnęła panicza, krok jeszcze jeden dalej postąpiła naprzód, ale i jej już sił zabrakło.

— Nie można, paniczu, nie można: zamrzemy.

— Zamrzemy, — powtórzył głucho Rafał.

Nowy słup śniegu z wichurą silną wpadł na nich.

Marychna przytuliła się silniej do Rafała, on ją wpół objął i zrozumiał w tej chwili, że groźba śmierci, wyszła z ust dziewczęcia, nie była postrachem tylko, lecz istotną a straszliwą prawdą.

Wobec grozy położenia on przestał myśleć, ona szeptała słowa modlitwy, żegnając się już z życiem.

— Spać mi się chce, — szepnął Rafał.

— Paniczu, na miłosierdzie boże, nie zasypiajcie! To śmierć, pewna śmierć — wołała Marychna, potrząsając silnie rękoma sztywniejące ciało Rafała. Ratunku! pomocy!

Ale wołania Marychny nie słyszał przestwór nawet, bo je wicher głuszył. Na nieprzejrzanem polu nie było widać żywej duszy.

Rafał jeszcze przez chwilę silił się, aby zmódz ogarniającą go senność, chciał oczy otworzyć — daremnie.

— Marychna, widząc to—głośnym wybuchnęła płaczem.

— Paniczu, paniczu, Sokoliku mój!—zawołała; na toż ci przyszło, aby tak marnie zamrzeć na szczernem polu, bez matusi, bez ojca! Wstążkiś mi dawał, na książce pokazywał, po oczach całował, a teraz, Jezusieńku najsłodszy, marniejesz i ja ci nic, nic pomódz nie mogę!

I zawodziła tak dalej Marychna, krzyczała w niebogłosy — napróżno. W końcu i jej sił zabrakło, i ona uczuła senność; wołała jednak o ratunek, póki głos jej nie zamienił się w jakiś chryp przeraźliwy, podobny do wycia zgłodniałego wilka. Schwyciła zimną rękę Rafała, przylepiła do niej swoje usta i, powoli, opierając się otaczającemu ją żywiołowi, oczy również przymykać zaczęła. Chwilka jeszcze, a nad głowami Rafała i Marychny ułożył się niby całun grobowy — śnieg biały, pokrywając razem z nimi i jeden z dramatów życia.

Zawieja, zwyciężywszy tych dwoje walczących z nią ludzi, jakby się już nasyciła zdobytym tryumfem, nagle zawyła jeszcze gdzieś w oddali i zapragnęła spoczynku. Niebo zaczęło się ukazywać zpośród kłębów śniegowych, wichura, zmęczywszy się, ustała, śnieg upadł na ziemię, w naturze zapanowała cisza.

Wtedy na tle ponurego tego krajobrazu zarysował się w odddali dworek szlachecki, pokryty białym całunem, w otoczeniu wyniosłych lip i zabudowań gospodarskich.

Spodziewano się tam Rafała, a gdy nie przybywał, poczęto się jego nieobecnością niepokoić. Niepokój ten wzrósł jeszcze bardziej, kiedy puszczone wolno przez Wojciecha konie przybyły do Lisówki i kiedy furman opowiedział o tem, co w drodze zaszło. Wysłano natychmiast ludzi, którzy, brodząc po pas w śniegu, natrafili niebawem na skostniałe ciała Rafała i Marychny. Przywieziono je natychmiast do dworu, zaczęto cucić, a gdy pierwsze oznaki życia w twarzy Rafała zabłysły, powstała radość niezmierzona. Marychnę zdołano prędzej jeszcze przyprowadzić do przytomności, co do Rafała jednak radość była przedwczesna. Żył, ale przeziębienie sprowadziło zapalenie mózgu, za które powinien był później dziękować Opatrzności. Oszczędziło mu ono bowiem widoku, od którego bieleje włos.

W Zielonej nie wiedziano nic przez czas długi, co się stało z Rafałem, chociaż Zielona graniczyła z Lisówką. Wszyscy z niepokojem przyglądali się czerwonej łunie, oświecającej dnia tego daleki horyzont. Anielka wstała nazajutrz o godzinie szóstej rano i wzięła się do roboty... Panieński jej pokoik oddawna zamienił się na szkołę. Około wielkiego stołu siedziało kilkanaścioro dzieci, trzymając przed sobą elementarze, a najbliższe z nich swojej nauczycielki powtarzało głośno: B-a-ba b, i—b-i, b, o—bo.

Na twarzy Anielki panował uśmiech zadowolenia, dzieci były również uśmiechnięte, a cała atmosfera pokoju tworzyła jakiś mały raik.

Tłuszcza, która zamieniła Lisówkę i okoliczne dwory w kupę gruzów, biegała teraz najkrótszą drogą z Lisowki do Zielonej, biegła jednak w milczeniu ponurem, skradała się, niby lis do kurnika.

Pod samym dopiero dworem ozwało się nagłe i straszne wycie.

Napastnicy zastali wszędzie drzwi otwarte, nikt im wejścia nie bronił; rzucili się do rabunku, szukając po wszystkich pokojach istoty jednej, której krew nasyciłaby ich rozszalałe namiętności.

Po drodze napotkali najpierw pokój Anielki.

Jednem uderzeniem nogi wysadzono drzwi prowadzące do niego i przed tłumem rozjuszonym ukazał się nagle ten obrazek uroczy, ten raj maleńki, który stworzyła sobie Anielka.

— B,a—ba; bi—bi; b,o—bo, brzęczało w powietrzu. I stał się cud. Ludzie, którzy przed niedawnym czasem nie cofnęli się przed zbrodnią, wobec dźwięku tych syllab, wobec tych twarzy czystych, dziecinnych, siedzących za stołem, stanęli nieruchomi i zawstydzeni.

Ucichło nagle wszystko, żaden przybyły nie śmiał słowa z ust wypuścić, tchu nawet mu w piersiach zabrakło, bo w powietrzu dźwięczało owo magiczne: b, a—ba, b, i—bi, b, o—bo.

Anielka, ujrzawszy ten tłum dziki, w tak oryginalny sposób otwierający drzwi do jej szkoły, powstała z miejsca i spytała spokojnie:

— Ludzie, czego chcecie?

W tłumie nie było ani jednej istoty, którąby była w stanie odpowiedzieć na to krótkie i jasne pytanie.

— Chodźwa ztąd, chodźwa, — szepnął ktoś z końca gromady,—i w tej chwili tłuszcza cała milcząca, uspokojona opuściła, stąpając na palcach, ściany dworku Zielonej, i pozostawiając na swoich miejscach zrabowane w pierwszej chwili przedmioty.

* * *

Skoro wieść o strasznych wypadkach dobiegła uszu Szydlika, nie tracąc jednej chwilki czasu, siadł on na konia i pośpieszył do Zielonej, aby wobec katastrofy bronić jej mieszkańców.

Gnało go może tam coś więcej, aniżeli proste uczucie szlachetnego człowieka. Przybył na miejsce jednocześnie prawie z tłumem, który przez ogród wbiegł do dworu. Spotkał się z nim oko w oko, wchodząc przeciwnemi drzwiami do pokoju Anielki. Przyglądał się z ciekawością temu, co się tam działo, i.... był szczęśliwy. Wszakże przed sobą widział tryumf tego elementarza, któremu przypisywał moc i potęgę najwyższą. Widział tego anioła pokoju, budującego lepszą przyszłość i zgodę między zwaśnionymi braćmi.

Gdy tłum zniknął, Szydlik za piersi się chwycił, jakby w ten sposób chciał przytłumić gwałtowne bicie serca i bezsilny prawie usiadł na najbliżej stojącem krześle.

Anielka, blada, przerażona tem wszystkiem, co naokoło niej się działo, ze zdumieniem patrzała na przybyłego, jakby oczekując od niego objaśnień.

— Co to jest, co się tutaj dzieje? — szepnęła.

— Nieszczęście,—zawołał cichym głosem Szydlik. — Wyjdź pani przed dom, spójrz naokół; wszędzie pożary, wszędzie mordy. Książę Metternich burzy to w ten sposób, co uczciwi ludzie zrobić chcieli, a burzy temisamemi rękoma, na które liczyli Rafał i jemu podobni.

Zajęta wypadkami i tem, co słyszała od Szydlika, Anielka nie spostrzegła Matki, Józi i w ogóle całej służby ze dworu.

— Panie, — zawołała nagle, przerywając mu objaśnienia.—Nie widzę mamy, Józi, nikogo, i nie zatrzymując się ani chwili, pobiegła do officyn, gdzie tylko kilka drzewek folwarcznych. gdyż cała służba rozbiegła się na wszystkie strony, cucących omdlałą panią Rajewską, i starających się uspokoić szlochającą Jozię.

Pani Rajewska do przytomności przyszła niebawem, ale wyglądała tak, jakby jej w ciągu tej jednej nocy lat kilkanaście przybyło. Włosy posiwiały jej zupełnie, szeptała tylko dwa słowa:

— Rafała zamordowali, Rafała zamordowali!

A ujrzawszy Amelkę i Szydlika, chwyciła za rękę tego ostatniego i dodała:

— Jedź, jedź pan natychmiast, odnajdź go i przywieź mi przynajmniej trupa.

— On żyje—odparł spokojnie Szydlik, — żyje, bądź pani spokojną i nabierz siły. Rozchorował się tylko, ale dziś przywieziemy go do Zielonej, a skoro tylko wyzdrowieje, trzeba go będzie ztąd usunąć; czasy się później może zmienią, wróci. Lepiej to może nawet będzie dla niego.

(Dalszy ciąg nastąpi)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXXII.

Towarzystwo dramatyczne poznańskie w Wodewilu; dwie nowe sztuki: **Pałac i rudera**, sztuka 5 obrazach z powieści *Bolesława Prusa*, uscenizowana przez *J. Popławskiego* i *S. Staszewskiego*; **Chłopska miłość**, obraz ludowy z tańcami i śpiewami, w 5 aktach przez K. R. Kozierowskiego. **Ciężkie czasy**, komedya w 3 aktach M. Bałuckiego, przedstawiona po raz pierwszy w teatrzyku Bellevue przez towarzystwo dramatyczne łódzkie.

Nie umiałbym powiedzieć: dlaczego *Pałac i rudera*, powiastka Prusa, czytana przed trzynastu laty, zostawiła wemnie wrażenie utworu głębiej odczutego przez samego autora i głębiej też wdzierającego się w umysł czytelnika. Może było to skutkiem jakiejś wady subjektywnej w przejmowaniu rzeczywistości; a może i sam utwór ma w sobie istotnie głębokość, którą wrażliwość moja przekazała pamięci: dość, że gdy mi powiedziano o przerobieniu na scenę powieści wielce oryginalnego i może najpierwszego dziś u nas nowelisty, pochwaliłem fakt dokonany i do pochwały dodałem wesołą wróżbę, że się sztuka powiedzie.

Sztuka się nie powiodła, a ja ze skruchą wyznaję, żem zanadto wrażliwości czy pamięci swojej zaufał; brałem to, co było tylko zamiarem autora, za dokonany już rzeczywiście czyn artystyczny; granica pomiędzy *chceniem* a *spełnieniem* dla myśli mojej zatarła się przez czas—i widziałem przed sobą jedynie utwór idealny, złożony z tego, co w nim jest, i czego niema, i co-by było, gdyby Prus drugi raz, na nowo, *Pałac i rudery* napisał.

Ale nie napisał, a pp. Popławski i Staszewski, sumiennie przestrzegając najpierwszego obowiązku wszelkich scenizatorów względem autorów oryginalnych, spełnili go w sposób tak doskonały, że kto wie, czy niedoskonały nie byłby lepszym? Stosuje się to szczególniej do dyalogów i zupełnego zaniedbania charakterystyki indywidualnej,—takiej, jakiej scena dla siebie wymaga; tam zaś, gdzie odstąpiono od powieści, to znowu przez melodramatyczny realizm — najgorszy ze wszystkich — wywołano tylko niesmak. Ostatni obraz sztuki, ukazujący współcześnie w jednej izbie konanie i waryactwo, w drugiej zawieranie zbrodniczej umowy, miał być najsilniejszym, a w skutkach okazał się najsłabszym. Robota w nim zatarła zupełnie sztukę.

Powieść, jakkolwiek niezadawalniająca swoją psychologią i logiką faktów duchowych, mogła jednak sprawiać wrażenie obrazem nieszczęścia, na które złożyły się maniactwo jednego człowieka a głupota i nikczemność wielu. W malowidle powieściowem, chociaż niedoskonałem, znajdują się miejsca piękne, wdzięczne lub przerażające; są

zwłaszcza rysy z charakterystyki społecznej, których dramat przyjąć w siebie nie mógł bez przeniewierzenia się swej istocie. Tak np. opętanie Hoffa przez owo *perpetuum mobile* mogło na scenie w ułomnej tylko wystąpić postaci, nie jako proces patologiczny, ale jako sprężyna działania a raczej nie-działania. Na dobrze pomyślany, chociaż niedoskonały w stylu, sen proroczy Gustawa nie było zgoła miejsca w sztuce scenicznej. Piękna scena między ojcem a córką, wsłuchaną w głos dzwonu na Anioł Pański, wzruszająca czytelnika, dla widza teatralnego straconą była. Lombard, charakterystyczny i zupełnie uprawniony w powieści, w udramatyzowaniu jej stał się tylko epizodem wytrącającym dramat, — t. j. rozwój uczuć i woli — z właściwej kolei. Jest w nowelli Prusa ładna, bardzo wdzięczna scenka pomiędzy Gustawem a Wandzią podczas malowania portretu: nie ruszono jej z książki, a szkoda, bo wzmocniłaby ona tragiczność przez przeciwstawienie gromu zakończającego dramat i jasnej pogody serc młodzieńczych. Niewłaściwość pomysłu, który przewodniczył robocie w akcie V wytknąłem już wyżej. Dobrze zrobiono, zbierając wszystkie te dwunożne stworzenia, zajmujące się zbawianiem ludzkości, — w jednę kupę i jeden akt (I), ale szkoda, że nie zużytkowano tych wszystkich żywiołów humoru, które znajdują się u Prusa, już poza obrębem dyalogów.

W tych dyalogach trzymano się niewolniczo oryginału; jak idą w książce, tak słowo w słowo wypełniają całe sceny w dramacie. Wraz z niemi wtłoczono w sztukę i nieprawdziwego Hoffa, i fałszywego Gwoździckiego, i demoniczną jego zemstę bez rzetelnego powodu, i niepojętą bierność, wyzucie się z wszelkiego instynktu zachowawczego dwóch jego ofiar, Hoffa i Konstancyi, i zbyteczne dobijanie biedaka, dobitego już przez nędzę, i szczególne upodobanie w Gwoździckim do wzniesienia sobie pałacu koniecznie na miejscu rudery, i wreszcie słynne prawo cywilne i hypoteczne, zaimprowizowane przez utalentowanego nowelistę w sposób przynoszący zaszczyt jego wyobraźni. Wzięto wszystko — złe i dobre. Zapewne, była to wielka rzetelność, ale w robotach ludzkich przymiot ten nie wystarcza.

Kilka słów w tem miejscu o przeróbkach może się komu przyda. — Dramata robione z powieści przypominają najczęściej i — mimo całej staranności w pracy — do pewnego stopnia przypominać muszą, przerabianą starzyznę. Powieść wyjrzy zawsze zpod dramatu, a uskarżając się na pokrzywdzenie, sama też krzywdzicielką będzie. Przetapianie z jednej formy w drugą odbywać się musi pod silną kontrolą zasadniczych pojęć o tem, czem powinna być powieść, a czem dramat, i jak daleko każdemu z tych rodzaju sztuki posunąć się wolno i potrzeba, aby nietylko indywidualności swej nie zatracić, ale jeszcze należycie ją rozwinąć. Motywa powieści nie wszystkie mogą być motywani dramatu, a forma życia, stanowiąca istotę danego rodzaju sztuki, inną być musi w dramacie a inną w powieści. Czy to samoistnie tworzyć czy przerabiać, zawsze dramaturgiem być potrzeba, bo rysunek postaci, skład i układ psychologiczny charakterów dramatu innym być musi, niż w charakterach powieściowych. Najbardziej dramatyczne charaktery w powieści uzupełniają się przez tło nawet martwe, przez żywe otoczenie, przez domówienia autorskie; podczas gdy w dramacie same już przez się pełnemi być, własną siłą żyć, za siebie przemawiać i bezpośrednio przed oczy widza rzucać się muszą.

Najlepiej będzie, gdy przerabiający z wzoru swego zdejmie tylko zewnętrzna powłokę wypadków, czyli tak zwaną *fabułę*, a charaktery sam udramatyzuje, sam powytwarza sceny — sam, jednem słowem, dramat napisze. Lecz co się wtedy stanie z przemysłem uscenicznia, tak u nas kwitnącym? A gdyby przepadł? Mała szkoda, krótki żal.

Ciężkie czasy Bałuckiego powinnyby się nazywać „Wizytą Jego Excellencyi.“ Płodny ten niezmiernie komedyopisarz zbyt hołduje dowcipowi i wesołości, aby mógł utrzymać się długo w tonie poważnej, o wieku danym wiekom przyszłym świadczyć mającej satyry. Zwracałem już nieraz w tem miejscu uwagę, że Bałuckiego sztuki noszą na sobie przeważnie piętno pohulanek i są tem lepsze, im to piętno w nich wybitniejsze. W akcie I nowego utworu, pierwszy raz ukazanego Warszawie w ogródku Bellevue, jest jeszcze satyra na utyskiwania o ciężkich czasach; ale dwa pozostałe facecyonują tylko na temat próżności, chciwości i służalstwa, które autor, jako przedstawiciel demokracyi mieszczańskiej, niezawsze dość rozległe ogarniającej widnokręgi, wytyka ogółowi szlachty małej, większej i już pół-pańskiej. Bezwzględność Bałuckiego w stawianiu tej tezy jest tak wielką, że jedyny człowiek z czystem sumieniem, niezrobaczałem sercem i zdrowym rozsądkiem (Rembowski) pochodzi z innej prowincyi i wraz z synem swoim przedstawia jakiś żywioł obcy, jakąś naleciałość organicznie do całości przyrosnąć niezdolną.

Ta szlachta, zadłużająca się na przyjęcie Excellencyi z Wiednia —*nota bene* excellencyi, która wcale nawet nie istnieje,—okazała się niezmiernie posłuszną p. Bałuckiemu, gdy jej kazał pozbyć się, już nietylko godności, ale nawet rozsądku egoizmu i logiki namiętności. W takie służalstwo, taką gorączkę wyczekiwania i dygotanie serc szlacheckich, nikt nie uwierzy, kto ma w sobie wyższe nad rozśmieszenie *criterium* prawdy psychologicznej; a od czynu najbardziej bezwiednego domaga się odpowiedniego umotywowania, legitymacyi w sztuce. Bałucki nie umie w ośmieszaniu utrzymać miary, a ztąd i same charaktery tworzy niewymierne, jakieś postacie bez symetryi i bez równowagi— najczęściej karykatury. Karykaturalność też grasuje i w *Ciężkich czasach*. Żydki przebrane za Krakowiaków, zaglądanie przez dziurkę od klucza do mniemanej excellencyi, ustąpienie na rozkaz Juliana, sama wiara w przybycie potajemne— wszystko to szpetne jest swą nieprawdą. Natalka z Wiednia bawi i urozmaica, trochę już przydługie skakanie około nieistniejącego dygnitarza; ale pomysł ten, przypominający jednę z najnowszych komedyi francuzkich—nie grzeszy również nadmiarem prawdopodobieństwa w danych warunkach otoczenia i obyczaju społecznego.

Rembowski wygląda jak sensat, prawi morały, nic nie robiąc; a mimo morałów, i chyba tylko dla nich, stawia się na godzinę spodziewanego przyjazdu Jego Excellencyi. Syn jego, Karol, jest już istotą żywą i choć tego życia w nim niewiele—bo go mało na scenie widzimy, miłe sprawia wrażenie szlachetnością swoją, odczuwaniem solidarności łączącej młodych wobec wszelkich zagadnień „kwestyi kobiecej“ wreszcie wrodzoną dobrocią serca. Wyprowadzenie z doraźnego więzienia owej Natalki, przechwalający się bratem atletą cyrkowym, dobrze jest zrobione.

Ciężkich czasów tedy niéma w *Ciężkich czasach*, jeżeli pominiemy akt pierwszy w którym ludzie popiero się pokazują, a jeszcze się ruszać nie zaczęli. Przytem ten akt — niech mi to Bałucki daruje—dziwnie jest jakoś bladym i jakby nie przez takiego, jak on, humorystę pisanym. I ciężkim czasom i „wizycie Excellencyi“ jak nazywamy dwa ostatnie akty — szkodzi pewna szablonowość rysunku. Tylko rodzina Kwaskiewiczów udała się autorowi. Karol i Bronia ledwie czasem przebłyskują. Inne postacie są wycinane z papieru, ale dzięki humorowi Bałuckiego szablonowość swoję pokrywają życiem.

Sztuka jest wesoła, ilekroć nie razi nieprawdopodobieństwem lub potwornością nierozsądku. Bałucki umie rozruszać człowieka i poruszać ludźmi; niéma u niego spoczynku, zastanawiania się, rozwagi, wnikania w siebie. Wszystko, raz wprawione w ruch, pędzi już na złamanie karku. Szczerym śmiechem prawie zawsze płaci publiczność Bałuckiemu za jego szczery humor. Sam autor bawi się i ludźmi na scenie, i ludźmi w widowni teatralnej i dobiera sobie do zabawy jednych i drugich, a śmiejąc się wraz z nimi,— przy ich też pomocy z nich samych się natrząsa. Jego satyra jest karykaturalną, bo nie mając podkładu z głębokiej miłości i uzupełniającej ją nienawiści, nie zdołała się dorwać do macierzyńskiej piersi prawdy; ale jego humor zawsze i długo jeszcze bawić i rozweselać będzie—w tych ciężkich czasach.

Chłopska miłość — nowego, nieznanego dotychczas autora, ze sfery ziemiańskiej,—opiewa co następuje: Przed wielu, bardzo wielu laty dwaj bracia gospodarze, Ignacy i Mikołaj zabili ekonoma; pierwszy z nich tylko zranił ofiarę, drugi jest właściwym zabójcą. Ignacy uciekł daleko w świat, gdzie go oczy poniosły. Mikołaj, odważniejszy, pozostał na miejscu, zagarnął dział bratni, córkę jego przy sobie jako sierotę chował, dorobił się majątku i był poważanym gospodarzem we wsi. Zbrodnię pokryła tajemnica. Patrzał na nią wprawdzie ukryty za krzakami miejscowy strzelec Kacper, ale z gruntu zły człowiek, zamiast o niej donieść, wolał zawrzeć z Mikołajem piekielny sojusz: czegokolwiek Kacper od Mikołaja zażąda, to Mikołaj spełni bez namysłu— inaczej kryminał. Czego żądał przed sztuką— nie wiemy, ale w samym początku sztuki żąda ręki Hanusi, owej sieroty, po bracie. Oczywiście, że ją dostaje, tylko że Hanusia kocha Stacha, syna Marcina, zamożnego gospodarza z okolicy, a o czarnym charakterze słyszeć nawet nie chce.

Czeka ją walka, w której byłaby może uledz musiała, ostatecznie odbierając sobie życie, gdyby nie zjawienie się we wsi nowego pustelnika, przybyłego do opuszczonej pustelni. Rzecz prosta, że z zasady sztuki owym pustelnikiem nikt inny być nie może, tylko sam ojciec Hanusi. I on to jest rzeczywiście; czuwa nad dzieckiem nie odstępuje go, kieruje zrękowinami, przeraża brata wyjawieniem swej tożsamości i ostatecznie naprowadza rodziców Stacha na jedyną drogę potrzebną dla szczęścia ukochanej Hanusi. W każdej krytycznej chwili ten pustelnik, jak za naciśnięciem sprężyny, wyskakuje; nie trudno mu zatem zwyciężyć.

Oprócz Kacpra ma sztuka p. Kozierowskiego i drugi jeszcze czarny charakter: Kaśkę, córkę Mikołaja, która gwałtownie się wyrywa do Stacha, a widząc się wzgardzoną, podsyca żądzę zemsty w czarnej duszy strzelca. Staje umowa, że Kaśka wywabi Hanusię za próg chaty, a zaczajony Kacper zastrzeli, i ukochaną bez wzajemności, i siebie—tak mu już życie obrzydło.

Ale przypadek burzy zamiary złych a wymierza sprawiedliwość dobrym. Kaśka, drżąc, aby strzelec nie zabił jej Stacha, wybiega ostrzedz Kacpra: ten bierze ją za Hanusię i powala na miejscu, a potem drugą kulą sobie życie skraca. Kochająca się para nie ma już zatem żadnej przeszkody do szczęścia — i wierzymy, że je znalazła.

Sama ta już treść pokazuje, ile jest jeszcze surowizny w utworze p. Kozierowskiego. Dobrą stronę sztuki stanowi znajomość obyczajów ludowych i miłe ich przedstawienie. Również i wysławianie się ludu, o ile się w niem nie wyraża nieprawdziwy romantyzm erotyczny i naganna demoniczność, na pochwałę zasługuje. Śpiewów jest w sztuce sporo; są i tańce. Śpiewy układał p. Kornel Nowacki, zasilający od paru lat kompozycyami swemi ogródki, tańce—p. Klępiński.

Stanisław Krzemiński.

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

Szerzenie się chorób zaraźliwych.

III.

W poprzednich dwóch artykułach zamieszczonych w *Bluszczu* pod powyższym tytułem, przyjrzeliśmy się: w jaki sposób choroby przechodzą na zdrowych od indywiduów będących w początkach, albo już po przebyciu choroby i w jaki sposób dostają się do organizmu z powietrzem i pokarmami. Obecnie pozostaje zapoznać się jeszcze z zarażaniem się od osób przechodzących chorobę udzielającą się. I tu znowu prwrócić musimy do laseczników. Otóż przyjemne te istotki (można je tak nazwać gdyż się odżywiają, rozmnażają

i giną) wywierają w podobnych razach spotęgowaną czynność, za nim jednakże powiemy o tem, wypada w tem miejscu kilku słowami wspomnieć o powyższych funkcyach laseczników, a zatem, nasampierzód: o odżywianiu się. Rozumie się, że o przewodzie pokarmowym, o jakiemś żuciu trawienia i t. p., jakie ma miejsce u organizmów wyższych, mowy tu nawet być nie może. Laseczniki dają sobie radę w daleko prostszy sposób: żywią się poprostu za pośrednictwem endosmozy i exosmozy t. j. całkowita ich powierzchnia wchłania w swe wnętrze płyn, a przerobiwszy go w korzystny dla swego istnienia sposób, części niepotrzebne wydziela nazewnątrz. Powiedzieliśmy „płyn“ dlatego, że jest to najprzydatniejszy środek do wyciągania części pożywnych, niezbędnych dla laseczników, w powietrzu zaś, aczkolwiek mogą przez pewien czas się utrzymać, szczególniej, gdy jest ono dosyć wilgotnem, żyją przeważnie ich zarodniki, które dopiero wykształcają się w prawdziwe laseczniki, dostawszy się na właściwy grunt, jakim jest krew, błona śluzowa przewodów oddechowych, kanału pokarmowego i t. p. Tu szerzą zniszczenie, gdyż rozmnażają się na miliony milionów. A rozmnażają się, albo przez to, że oddzielają się od nich zarodniki, albo też wprost przez dzielenie się na części,—więc albo oddziela się pewna część od lasecznika już istniejącego i szybko wykształca się—w podobny do macierzystego, albo wprost lasecznik dzieli się na dwie połowy, z której każda operuje na swoję rękę, dzieli się dalej i tak *usque ad infinitum*. Ginienie laseczników odbywa się również szybko, gdy tylko warunki bytu okażą się niekorzystnemi, a co sztucznie wywołać można bezwarunkowo: albo środkami antiseptycznemi i dezinfekcyjnemi, albo też szczepieniem pewnych jadów, czy też laseczników nieszkodliwych, które staczają, że tak powiemy, walkę ze szkodliwemi, zwyciężywszy je zaś, sprawiają, że szkodliwe giną, albo też nie znajdują przychylnych warunków, aby dostać się do organizmu i w nim się rozwijać. Na tej właśnie ostatniej zasadzie opiera się szczepienie ospy, wąglika, wścieklizny i t. p.

W organizmach dotkniętych chorobą zaraźliwą, taką np. jak tyfus, ospa, szkarlatyna, odra, róża i cholera, ilość laseczników jest tak wielką, że i otaczające chorego powietrze, pościel, odzienie, naczynia—przepełnione są niemi w wysokim stopniu i ztąd łatwość zarażenia się. Z osób będących w okresie wylęgania się choroby lub konwalescencyi, przechodzić również mogą, jak widzieliśmy, na zdrowych; jeżeli ci ostatni im nie ulegają, to dlatego, że albo laseczników jest jeszcze zamało, aby mogły wywołać chorobę, albo też, że exystencya ich już się wyczerpała i przestały być szkodliwemi. Od człowieka znajdującego się w pełni rozwoju choroby peregrynować mogą *en masse* i wywoływać podobną chorobę.

Z tych-to względów niezbędną jest rzeczą oddzielanie osób chorych od zdrowych, odosabnianie w ścisłem znaczeniu tego słowa.

Często zdarza się czytać i słyszeć, że rodzice X... lub Y..., utracili w jednym tygodniu dwoje dzieci na szkarlatynę lub dyfteritis. Nie chcielibyśmy nikomu robić wymówek, lecz gdyby chore dziecko ściśle odseparowano od zdrowych, bardzo być może, że skończyłoby się na jednej ofierze, że wyrwanoby inne dzieci śmierci. Mówimy tu przeważnie dlatego o dzieciach, że one zarażają się bardzo łatwo, albowiem choroba udziela się rzadko od dziecka osobom dorosłym, które, bądź-to chorobę przebyły już, bądź też nastąpiło u nich pewnego rodzaju stępienie na wpływy chorobotwórcze.

Najpewniejszym sposobem odosobnienia jest, gdy jedno z dzieci zachorowało, wydalenie zdrowych z domu, rzadko bowiem, można powiedzieć: wyjątkowo tylko, następuje jednocześnie choroba naraz u kilku dzieci w jednej rodzinie; zazwyczaj zapada jedno, a od tego pozostałe się zarażają. Wydalając jednakże dziecko z domu, pamiętać należy o tem, że organizm jego znajdować się już może w stanie wylęgania się choroby, że rozwinie się ona wkrótce i z tych względów pomieszczać je wypada tam, gdzie niéma dzieci, w przeciwnym bowiem razie, stać się ono może krzewicielem choroby. Istnieje w wielu domach przesąd przestarzały, mianowicie wiele osób utrzymuje: „jak ma dostać choroby, to i gdzieindziej dostanie“, albo „taka lekka szkarlatyna: niech się pozbędzie“; wydarzało mi się nawet słyszeć: „już za jedną zapłatą doktora pozbędziemy się odrazu u wszystkich“. Prócz tej ostatniej *oszczędności*, przesądy powyższe są przesądami *par excellence*, albowiem bakteryologia dokładnie wykazuje, że uniknąwszy zetknięcia z lasecznikami, uniknąć można i samej choroby; a to, że jedno dziecko przebywa chorobę łagodnie, nie daje bynajmniej pewności, że drugie, zaraziwszy się od niego, nie podlegnie chorobie o przebiegu bardzo groźnym, który może pozostawić cierpienie na całe życie, albo nawet spowodować zejście śmiertelne. Komuż nie jest wiadomem, że z dwojga dzieci jedno przebywa dyfterytis bez żadnych następstw szkodliwych a drugie dotknięte zostaje paraliżem? Kto tego nie widział, kto nie słyszał o wypadkach, że z kilkorga dzieci chorych na szkarlatynę jedno lub dwoje kończy na zapalenie nerek lub zakażenie krwi? Dlatego, powtarzamy raz jeszcze, jeżeli tylko jest możliwość wydalenia dzieci z domu, uskutecznić to należy bezwarunkowo! W przeciwnym razie odosobnić wypada w domu, co jest rzeczą wcale niełatwą do uskutecznienia, jeśli odosobnienie ma być wykonane należycie. W tym celu dziecko chore pomieszcza się w pokoju najodleglejszym od pokoju dziecinnego i między niemi przerywa się wszelką kommunikacyą. W grubszych zarysach tak się to przedstawia: nietylko dzieci zdrowe nie wchodzą do pokoju, gdzie pomieszczono chorego, lecz osoby dozorujące go, a także odwiedzający i służba, nie powinni wchodzić do pokoju dziecinnego. Odzienie natychmiast po rozpoznaniu choroby zaraźliwej wydać z domu dla zrobienia dezinfekcyi, bieliznę od samego początku, gdy nawet jeszcze nie zdyagnozowano choroby zaraźliwej, chować oddzielnie, a później i prać oddzielnie, z dodatkiem substancyi dezinfekcyjnych, takich, jak sublimat lub karbol. Naczynia winny być wyznaczone dla chorego oddzielnie i oddzielnie wymywane.

Po przebyciu choroby kwarantanna powinna być zaprowadzoną przez czas, jaki oznaczyliśmy w pierwszej pogawędce „o szerzeniu się chorób zaraźliwych“.

W podobnych razach nie można być zbyt ostrożnym. Powyższe środki mogą być wielce złagodzonemi, gdy inne dzieci już przebyły chorobę, jaką przebywa w obecnej chwili dziecko chore, gdyż większość chorób zaraźliwych dotyka człowieka raz tylko w życiu, chociaż bywają pod tym względem nierzadkie wyjątki.

To niepowtarzanie się chorób zaraźliwych nauka dziś objaśnia w następujący sposób:

Wiadomo, że krew prócz części płynnej zawiera w sobie kulki czerwone i białe. Otóż te ostatnie odgrywają, jak się zdaje, bardzo ważną rolę w tem, że organizm przestaje być wrażliwym na zarazki chorobotwórcze; mianowicie przypuszczają, że kulki te po przebyciu jednorazowem choroby wprawiają się —że tak powiemy we wchłanianie i wydzielanie szybkie zarazków na zewnątrz i temsamem nie dopuszczają ich rozmnażania się i sprowadzania choroby.

W ten sposób także objaśnić sobie można wpływ szczepienia zarazków ochraniających, jak ospy (krowianki), wąglika, wścieklizny i t. p. Przez zaszczepienie bowiem słabego zarazka sprawiamy, że białe kulki wprawiają się we wchłanianie zarazków prawdziwych i wydzielanie ich nazewnątrz.

Dzięki genialnemu odkryciu Jennera—dokonanemu w roku 1796—który po raz pierwszy zaszczepił krowiankę, ospa naturalna została znakomicie ograniczoną, a dziś nauka skierowała całą swą usilność na to, aby wykryć sposoby szczepienia i innych chorób. W ostatnich czasach słynny uczony francuzki Pasteur z wielkiem powodzeniem stosuje szczepienie osłabionego jadu wścieklizny. Można prawie z pewnością twierdzić, że przyjdzie czas, w którym lekarze potrafią tą drogą, albo zabezpieczać ludzi od zapadania na choroby zaraźliwe, albo je radykalnie leczyć.

Najpewniejszym jednakże środkiem w niedopuszczeniu rozszerzania się chorób zaraźliwych jest hygieniczny tryb życia. Laseczniki zdrowego organizmu się nie imają: muszą mieć już ułatwioną dla siebie drogę. Drogę tę ułatwia im zawsze przeziębienie się lub niestrawność, wywołana przez spożywanie pokarmów, bądź w zbyt wielkiej ilości, bądź też zepsutych.

Niepodobna w tem miejscu wymienić wszystkich szkodliwych wpływów. Trzebaby przytoczyć całą hygienę, zarówno prywatną, jak i publiczną; powiemy tylko, że pod względem tym, jak i pod wszystkiemi innemi, należy się rządzić rozsądkiem, żyć skromnie i moralnie.

Czyż właściwie człowiek sam nie wie, co może mu szkodzić? Czyż nie powinien umieć powściągać się od niewłaściwych przyzwyczajeń i panować nad namiętnościami? Wszak to jedna z najwybitniejszych cech, różniących go od zwierząt!

A jednak tak nie jest. Nie chcemy się odzwyczaić od szkodliwych przywyknień, nie chcemy zapanować nad podkopującemi nasze zdrowie namiętnościami, nie pamiętamy o jutrze: i dlatego generacya karłowacieje, a śmiertelność w Warszawie jest jedną z największych, w porównaniu z innemi wielkiemi miastami stałego lądu Europy.

Nie wiem, zkąd wytworzyła się zasada: że ludzie zdrowi zkądinąd zapadają częściej na choroby zaraźliwe, aniżeli słabowici; lecz, jeżeli tak jest w samej rzeczy, to objaśnić sobie ten fakt można właściwie w ten sposób, że ludzie zdrowi mniej dbają o przepisy hygieniczne, aniżeli osoby słabego zdrowia, częściej popełniają grzechy i dla tego łatwiej zapadają na choroby zaraźliwe.

Co do nas, zapewnić możeby, że właśnie osoby z wątłem zdrowiem, a więc posiadające więcej owych *loci minoris resistentiae*, podlegają znacznie częściej panującym epidemiom. To tylko niezawodne, że choroba w organizmie zupełnie zdrowym ma przebieg silniejszy, ale za to wyleczenia u nich dają znacznie większy procent, niż u cherłaków.

Każdy przeto człowiek powinien znać swe słabe punkta zdrowia, powinien z jednej strony starać się o to, aby je przy pomocy gymnastyki, hydropatii i odpowiednich leków, wzmacniać, a z drugiej chronić od wpływów szkodliwych.

Dr. J. Starkman.

Z bieżącej chwili.

Wystawa obrazów Kostrzewskiego powiodła się bardzo szczęśliwie i jest odwiedzana tak licznie, że artysta wzruszony tym objawem sympatyi przesłał do *Wieku* podziękowanie publiczności. Nie sam artyzm, nie sama sztuka tu działa. Kostrzewski jest przeważnie rodzajowym malarzem rzeczy swoich i ta swojskość chwytała tu za serca.

— **Fryne Siemieradzkiego** sprowadziła tyle oglądających, że opłata od wejścia przeniosły 3000 rs: i składa się obecnie tysiąc czwarty. Ciekawem byłoby porównanie ile też osób oglądało *Dziewicę Orleańską* Matejki?

— **Na premium** dla członków **Warsz. Towarzystwa zachęty sztuk pięknych** wybranym został do reprodukcyi obraz Rosena. Reprodukcya wykonaną będzie w Paryżu przez Lemerciera.

— **Konkurs Towarzystwa Muzycznego** na libretto do opery spełznął na niczem, mimo dziewięciu nadesłanych utworów, z których żaden nie zasłużył nawet na odznaczenie. Termin nowy wyznaczono na dzień 1-go Stycznia 1890 roku.

— **Konkurs „Gazety Świątecznej“** przyznał jedną tylko nagrodę (rs. 100) za powiastkę: — „Wdowa kukała — siebie oszukała!!.. p. Janowi Kowerskiemu. Artykułom opisowym, których nadesłano 18, nie przyznano nagrody żadnej; zpomiędzy powiastek i arykułów wyróżniono 18.

— **Na Polach Mokotowskich** odbyła się d. 4-go Lipca okrutna zabawka strzelania do gołębi. Zamordowano biednych ptaków 200.

— **Wystawa drobnego przemysłu włościańskiego** jest w projekcie. Zajmuje się tam p. Z., ziemianin z Łukowskiego. Przypuścić można, a nawet ręczyć z pewnością, że publiczność nie pozostałaby tu obojętną i wystawa byłaby pod wszelkim względem dobrym interessem.

— **Wystawa w Wilnie.** Obejmować będzie 6 działów głównych: konie, bydło, owce, trzoda chlewne, psy i króliki, ptactwo domowe. W działach innych mieścić się będą okazy dotyczące ogrodownictwa, sadownictwa, pszczolnictwa i leśnictwa. Okazy gospodarstwa mlecznego w rozmaitych swych przetworach i narzędziach; nasiona i zboża wszelkiego gatunku i odmian; przetwory domowego gospodarstwa wiejskiego, jak nalewki, wódki, konserwy wszelakie inne; okazy przemysłu domowego — uzupełnią wystawę, urządzającą się dla okolic: Wilna, Grodna, Kowna i Mińska. Wystawy ze stron innych mogą wystąpić, ale poza konkursem. Przemysł wielki pozostaje również poza konkursem. W r. zeszłym większość okazów została natychmiast nabyta i po cenach bardzo dobrych.

— **Tania kuchnia dla robotników**, została urządzona w Częstochowie, w przędzalni Peltera. Za gr. 12, jak opiewają donoszenia, otrzymuje się polewki mięsnej, ile kto chce, sztuka mięsa pół funta, talerz jarzyny i duży kawałek chleba. Na środku obszernej sali stoją kotły z potrawami, po bokach wzdłuż sali stoły i ławy dla obiadujących. Assystuje codziennie wyznaczony do tego urzędnik dozorujący i lekarz, który bada zdrowotność potraw.

— **Stary sługa** dworski w majątku *A*, w powiecie mińskim, imieniem Ignacy, złożył na ręce miejscowego proboszcza księdza *A. R.* 10 rs. z prośbą, aby pieniędzy tych użył na restauracyą opuszczonego grobowca dawnego jego pana.

— **Stowarzyszenie ubezpieczenia robotników od wypadków przy pracy** zawiązało się we Lwowie i odbędzie wkrótce pierwsze posiedzenie.

— **Krakowskie Towarzystwo Oświaty ludowej** rozpościerające działalność swoję na 26 powiatów Galicyi, przeważnie Zachodniej, wydało sprawozdanie swoje, wykazujące funkcyonowanie 152 czytelni i wypożyczalni książek bezpłatnych. Dzieł w czytelni jest 20.439 wartości 5.600 zł. ren. Cyfry wykazały, że korzysta przecięciowa z jednej czytelni 160 czytelnikow. Liczba członków Towarzystwa jest 516; majątek obliczono na 8.734 zł. ren. Staraniem Towarzystwa odbyła się w Krakowie dla młodzieży rzemieślniczy 16 wykładów popularnych; wykłady podobne odbywały się w wielu miejscowościach, jak w Wieliczce, w Czernichowie. Pism ludowych prenumerowało Towarzystwo 300 exemplarzy. Znaczna liczba kobiet należy do Towarzystwa.

— **Medal pamiątkowy,** wybity we Lwowie dla uczczenia obywatelskich zasług Smolki i czterdziestoletniej jego pracy na tem polu, wręczony mu został przez d-ra Hoszarda na czele deputacyi lwowskiej. Ze jubilat nie chciał rozgłośnej owacyi, wręczenie nastąpiło w biurze wydziału krajowego w godzinach zwykłego tam zajęcia jego pracą.

— **Pomnik Mickiewicza** ma być wzniesiony w Konstantynopolu, w domu, gdzie go śmierć zaszła. Dom ten pamiątkowy nabył przed laty kilku Polak, Józef Ratyński. Zamieszkali tam w Konstantynopolu polacy zapragnęli zaznaczyć to miejsce zgonu wielkiego poety.

— **Międzynarodowy kongres hygieniczny** odbywać się będzie w Paryżu od d. 4 do 11-go Sierpnia. Ma w nim brać ndział pięć kobiet.

— **Dwadzieścia** kilka tysięcy malarzy znajduje się w Paryżu. Obecnie wyprzedaje się tam słynna galerya zbankrutowanego amatora malarstwa, Sécretana, mieszcząca głównie obrazy pendzla malarzy francuzkich. Najznakomitszem dziełem był tam obraz pendzla Milleta: „Angelus.“ Zaczęto go licytować od dwukroć stotysięcy franków, bo za taką cenę został on nabyty do galeryi, nie już z pierwszej ręki od malarza, który dostał za niego nie cały tysiąc franków, ale od pośrednika. Licytował Amerykanin i kommissarz rządowy Proust i było to coś podobnego do licytacyi Zakopanego. Grało w piersiach francuzkich uczucie patryotyczne, i obraz doszedłszy ceny pięćkroć pięćdziesiąt trzy tysiące franków, pozostał przy Francyi. Zgromadzeni bili oklaski, płakali z radości—biedna Francya!...

Nowe książki.

Bełza Stanisław. Odgłosy Szkocyi, z 9 ma illustracyami. Kraków, 1889. rs. 1 kop 50.

Dubiecki Maryan. Historya literatury polskiej na tle dziejów narodu skreślona, przez... Warszawa, 1888. rs. 6.

Kurth Godfryd. Początki cywilizacyi chrześciańskiej, przekład polski. Warszawa, 1888, rs. 1.

Merczyng Henryk. Zasady elektrotechniki, opracował... 164 rysunków w tekście i mapa litograficzna. Warszawa, 1889. rs. 2 kop. 70.

Meyer Wilhelm M. W państwie gwiazd. Astronomia w pogadankach popularnych. Z niemieckiego tłumaczył Feliks Wermiński. Z drzeworytami w tekście i z dodaniem litografowanej karty nieba. Warszawa, 1889. rs. 1 kop. 50.

Mickiewicz Adam. Pan Tadeusz, czyli Ostatni zajazd na Litwie, historya szlachecka z 1811 i 1812 r., w dwunastu księgach wierszem, przez... z 24-ma rycinami E. M. Andriollego i portretem potety. Lwów, 1889. Zesz. I—IV po — 75 kop.

Nusbaum Józef. Zasady ogólne nauki o rozwoju zwierząt (Embryologia). Z licznemi drzeworytami w tekście. Warszawa, 1889. rs. 2.

O'Reilly Bernard ks. Żywot Leona XIII Papieża, napisany w 1887 r. przez... przekład z angielskiego. Warszawa, 1889. rs. 1.

Reussner Plato v. Najlepsza metoda języka angielskiego do nauczenia się czytać, pisać i rozmawiać po angielsku w 24 lekcyach bez nauczyciela, opracował dla użytku Polaków... autor Najlepszej metody języka niemieckiego. Kurs niższy. Drugie wydanie, przejrzane, poprawione i powiększone. Warszawa, 1888, kop. 75.

Rogosz Józef. Na dziejowym przełomie, powieść hist. z XV-go wieku. T. I (cz. I i II). Warszawa, 1889 rs. 2.

Rok zbawienny, czyli Droga uświątobliwienia chrześciańskiego w codziennych rozmyślaniach przedstawiona (z obrazkami 12 Apostołów). Warszawa, 1889. Zeszyt 1—8 i za 9—12, rs. 1 kop. 80.

Roscher Wilhelm. Nauka ekonomii handlu i przemysłu dla poświęcających się tej nauce i trudniących się stosowaniem jej do spraw życia społecznego, przez... z upoważnienia autora, z czwartego wydania niemieckiego przełożył d-r Jan Banzemer. Warszawa, 1889, rs. 5.

Secrétan K. O prawach kobiet, przełożył Fr. Rawita. Warszawa, 1889, kop. 50.

Sękowski Konstanty. Rachunkowość rolnicza, ułożona na podstawie buchalteryi podwójnej, opracował... przy współudziale sił Redakcyi „Rolnika i Hodowcy“. Warszawa, 1889. rs. 1 kop. 50.

Szujski Józef prof. Historyi polskiej treściwie opowiedzianej ksiąg dwanaście, napisał... Wydanie nowe. Warszawa, 1889. rs. 2 kop. 50.

Załęski Stanisław ks. O masonni w Polsco od roku 1742 do 1822, na źródłach wyłącznie masońskich napisał... z 8-ma illustracyami. Kraków, 1889. rs. 3.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 1-szy powieści pod tytułem **O Własnej Mocy** przez J... B... Ed...

Zeszyt k. 25. Pocztą 32. **TANIE WYDANIE** Zeszyt k. 25. Pocztą 32.

Wyszły z druku **zeszyty 9-ty i 10-ty** dzieła p. t.

PISMO ŚWIĘTE

STAREGO i NOWEGO TESTAMENTU

Jedyna w swoim rodzaju pod względem przepychu edycya ozdobiona 230 drzeworytami

rysunku najsławniejszego francuzkiego illustratora

GUSTAWA DORÉ

przekład **X. JAKÓBA WUJKA,**

zatwierdzony przez Stolicę Apostolską.

Wydanie nowe z objaśnieniami, zatwierdzone przez Konsystorz Archidyecezyi Warszawskiej.

Każdy zeszyt zawiera 3—4 arkuszy druku oraz 3 lub 4 wielkie ryciny oddzielnie na grubym illustracyjnym papierze odbite; zeszyty wychodzą w przerwach 10 — 12 dniowych; zeszytów będzie 60.

WARUNKI PRENUMERATY:

Żadne zaliczenie nie jest wymaganem; — zapisujący się płaci 25 kopiejek przy odbiorze zeszytu. Za podaniem adresu księgarnia wydawcy M. Glücksberga przy ulicy Królewskiej Nr. 5 przesyła zeszyty do domu.

Z przesyłką pocztą liczy się zeszyt kop. 32, prenumeratę z prowincyi nadsyłać można częściowo, lecz naraz najmniej na 5 zeszytów, czyli rs. 1 kop. 60, gdyż na prowincyą naraz po 5 zeszytów expedyować się będzie.

Nadsyłający z prowincyi odrazu prenumeratę na całe dzieło płacą tylko rs. 17 zamiast rs. 19 kop. 20, jakto przy częściowej opłacie wypada.

Prenumerować można we wszystkich księgarniach.

Michał Glücksberg,

Księgarz-Wydawca, ulica Królewska N. 5

TREŚĆ: Na wsi, przez M. Ilnicką. — Katarzyna Jagiellonka, królowa Szwedzka, skreślił M. Dubiecki. — **Błędna Ścieżka.** Szkic powieściowy, M. Wołowskiego. — **Przegląd teatralny** St. Krzemińskiego. — **Wiadomości z hygieny i medycyny popularnej;** Szerzenie się chorób zaraźliwych, przez J. Starkmana. — **Z bieżącej chwili.** — **Nowe książki.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **O Własnej Mocy,** przez J... B... Ed... — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 28 Іюня 1889 года.